

Dziecię

(fragment powieści)

W PODRÓŻY

1. (PO PROSTU)

Nie lubię zapachu nikotyny w moim pokoju. Mam na myśli pokój, w którym pracuje i śpię. Dlatego notorycznie wietrzę to pomieszczenie. Wieczory sprzyjają jednak zanieczyszczeniu powietrza. Postanawiam, poprawię się, ale wieczory tak sprzyjają brakowi poprawy.

Zadzwoiłem do znajomej z pytaniem, co by napisała na rozpoczęcie swojej powieści. Niby wykształcona osoba, a nie potrafi odpowiedzieć na proste pytanie. W końcu, czy to dziwne? Każdy ma własne życie, każdy pisze własną powieść. Tego nie da się powiedzieć w paru słowach, nawet znajomemu. Dlatego nie będę już nikogo pytał o takie rzeczy. Pozostanę ze swoimi sprawami sam na sam.

Pokój, w którym śpię, jest moim miejscem pracy. Od lat praktykuję pragmatyzm twórczy, czyli mieć w pobliżu siebie zdania napisane i gotowe do poprawiania. Co noc siadam z zapałem do poprawiania.

Uwielbiam poprawiać.

Gdy byłem chłopcem, mama co sobotę sprawdzała całe mieszkanie, bacząc czujnym okiem, czy wszystko zostało wysprzątane i doprowadzone do niemieckiego porządku przeze mnie i moją siostrę. Niestety, zazwyczaj nakazywała mi poprawianie byle jakiego sprzątania i pastowania białych płytek podłogi. Tłumaczyła: „Ranty między płytkami też trzeba pastować! Pasta nie jest po to, żeby zasmarować nią płytki. Pasta czyści. Namocz szmatkę pastą, przyciśnij ją i teraz dopiero zobaczysz, że pasta zmywa brud”. Przyciskałem. Rzeczywiście tak było. Matka była maniaczką porządku i czystości. Jak się miało okazać, była maniaczką porządku, który nijak nie przystawał do porządku tego świata. Ona ukazała mi nieuchronną logikę. Ona wpoila zasady, klarowniejsze od ewangelii i bardziej spójne od konstytucji europejskiej, zresztą od wszelkich konstytucji. Gdyby władzy mojej matki poddać parlamenty świata, niechybnie zapanowałby ład, sprawiedliwość i ogólnoewangeliczna komuna, jakiej nie wymyśliłby sam Chrystus i Budda razem wzięci. Ja natomiast w tym wieku nie myślałem o żadnych ewangeliach ani konstytucjach. Ewangelię poznałem jako dziewięcioletnie pachole z gazety. Było to mniej więcej tak. Podczas pierwszej komunii świętej czytałem z wyciętego przez księdza proboszcza fragmentu gazety katolickiej tekst o Grekach i Żydach, mieszkańcach Frygii i Pamfilii i jeszcze innych przedziwnych krainach. To w ich językach przemawiali apostołowie natchnieni duchem świętym. Niestety moje czytanie miało marny finał, bo po przeczytaniu rzeczonoego fragmentu i powrotu do ławki, zamiast napawać się pięknem liturgii, dokonałem eksperymentu ze świecą i garniturem. Świece podówczas były podłego gatunku, garniturki pierwszokomunijne również. Dotykając świecą marynarki, zauważyłem, że zostawia bajecznie białe ślady. Postanowiłem zatem pomnożyć te ślady, gdyż warte były

uwiecznienia. Byłem ciekawy. To właśnie ciekawość doprowadziła mnie do pierwszokomunijnej katastrofy. Niestety skutkiem lania, jakie dostałem po uroczystej mszy świętej, pochwały za piękne czytanie lekcji na zawsze uleciały z mojej pamięci, podobnie jak wrażenia ze spotkania z Jezusem eucharystycznym. Mówiąc krótko, to niezwykle eschatologiczne wydarzenie nie pozostawiło w mojej pamięci żadnych śladów. Pozostał tylko ślad bólu. I tak już zostało, jeśli chodzi o Jezusa eucharystycznego. Dań, które podano podczas pierwszokomunijnego obiadu, też niestety nie zapamiętałem. A jedyny prezent pierwszokomunijny, jaki stał się dla mnie znakiem i stygmatem zarazem, to wieczne pióro od wujka Pawła mojego chrzestnego ojca. Było chińskie, grube, czarne i piękne. Ono właśnie stało się moją przepustką do dojrzałości. Nie jakiś głupi zegarek, nie śmieszny rower. Mimo stygmatu bólu związanego z nieszczęsną świecą, garniturem i eucharystią, wiedziałem, że żadne dziecko w tym dniu nie otrzymało wiecznego pióra. Rodził się paradygmat i pragmatyka dialektyczna. Na szczęście dzieci nie wiedzą o takich rzeczach. Mnie po prostu został tylko ból tyłka.

